

# Kino Polonia

OSTAP SŁYWYNSKI

Майдан

Moją pierwszą książką w życiu był polski elementarz.

Do dziś właściwie nie wiem, dlaczego tak się stało. Mogę się jedynie domyślać.

Moi rodzice nie są polonofilami. W ogóle! Nie mieliśmy w rodzinie Polaków, przynajmniej nic nikomu o tym nie wiadomo. Dlatego też „operację na elementarzu” można z pewnością uznać za ukłon w stronę gości. Gdy podczas świętowania nadchodził właściwy moment (pierwsze napoje zostały wypite, pierwsze potrawy zjedzone, a goście byli gotowi na strawę duchową), ojciec dawał mi książkę, wdrapywałem się na taboret (dobrze, już dobrze, wiem, że nie mieliśmy wtedy taboretu, to po prostu klisze świadomości zbiorowej) i oblany rumieńcem, jękając się i składając sylaby, czytałem:

„Ala i mama idą do kina.

Nad kinem jest napis.

KINO POLONIA”.





Lesia Chomenko z cyklu *Stepan Repin*

Doczytywałem do tych niezrozumiałych dla mnie słów i przy ochach i achach, w takt oklasków gości wybiegałem z pokoju. Aureola cudownego dziecka mieniła się nade mną jak girlanda na choince. Myśle, że żaden z gości nie wpadł na to, iż nie znam jeszcze cyrylicy, a już czytam po polsku. Ojciec promieniał.

Udawało mu się wszystkich wodzić za nos. Prócz, rzecz jasna, mamy, która wszystko wiedziała, ale uczestniczyła w zмовie milczenia.

Wszystkich – nie tylko podpitych gości. W tym wypadku nie byłoby po co promienieć. Wszystkich to wszystkich.

◆◆◆

W 1983 roku w ZSRR wydawało się, że wszystkiego wystarczy już na kilka pokoleń. Nie wiem, jak to odczuwaliśmy – to stan półtrwania w zatęchłej wodzie: jak apatia, z której można, mając wyuczone nawyki, wyluskiwać ziarno codziennych radości? Każde świętowanie kupna nowych džinsów, podróży do Bułgarii? Ale to właśnie ojciec te rodzinne przyjemności przeżywał w milczeniu, był sceptyczny. Kult materialnego, który rozkwitł dorodnymi owocami w warunkach totalnego deficytu, przyprawiał go o cierpienia moralne. Bo jego interesowały jedynie książki.

Ktoś niedawno powiedział, że wizerunek Związku Radzieckiego jako „najbardziej czytane państwo świata” to bzdura. Nie dlatego, że nie czytano, lecz dlatego, że czytanie szło na marne, jak woda w suchy piach. Czytano, bo co innego można było robić – ileż czasu ponad normę można spędzać na idiotycznych robotach państwowych? Czytano zatem. A gdy czytasz, by zabić czas, to tak naprawdę nieważne, co czytasz. Czy to Gorki, czy Conan Doyle. Nie można także pominąć zasług tradycyjnego designu radzieckich mebli, których zestaw zawierał dwie szafki z półeczkami: jedną na kryształ, a drugą na książki. Bardzo wiele takich szaf, zapelnionych nigdy nieprzejrzanyymi książkami z lat 70. i 80., stoi do dziś. Sam widziałem.

Była, rzecz jasna, i antyteza – kasta kapłanów: „Marqueza, Borgesa, Hessego”, tajemniczych przemytników szczytanych do granic możliwości książek, nocnych drukarzy młodych zbuntowanych poetów i rozstrzelanych klasyków. Jeden z nich po rozpadzie ZSRR handlował książkami na rynku, inny został znanym intelektualistą, a jeszcze inny – posłem. Za komuny rozpoznawali się dzięki ledwie zauważalnej szczelinie obok ciemnia.

W tych czasach mój ojciec nie należał ani do jednych, ani do drugich. Nie czytał Gorkiego, ale też nie wstąpił do żadnego kółka czytelników nagminnie pożyczających książki. Miał swój projekt. Budował Europę. Z książek.

To nie było skomplikowane, nie było też łatwe. Wymagało cierpliwości i systematyczności. Bo co tydzień chodził do księgarni Drużba znajdującej się obok fontanny na placu Mickiewicza, w której sprzedawano literaturę w językach bratnich krajów socjalistycznych, i za każdym razem przynosił coś nowego, przygotowując się wewnętrznie na kuchenny dwubój z resztą domowników, którzy walczyli o ostatnie strzępy swojego terytorium, chroniąc się przed lawiną książek. Czasami były to całe serie książkowe, jak te niewielkie tomiki prozy zachodniej w jasnych jednokolorowych obwolotach z Nike z Samotraki albo czarne tomiki egzystencjalistów z imitacją druku na okładce. Czasami ojciec przynosił niespodziankę specjalnie dla mnie: dziecięcy atlas anatomii człowieka pod tytułem *Zadziwiająca maszyna* albo atlas sterowców z Hindenburgiem na czele.

To wszystko w polskich przekładach. Wszystko, co najlepsze, było wtedy w polskich przekładach. Nawet Czech Hrabal był tylko po polsku. Polska zagrożona czystości komunistycznego eksperymentu w ZSRR, na całe nieszczęście pozostawała „bratnia”. Dlatego wydawane w niej książki musiały znajdować się w radzieckich księgarniach, choćby tych specjalistycznych.

Bez wątpienia byłem częścią projektu ojca.

Powiem więcej: wydaje mi się, że zrealizował go dzięki mnie. Bo on sam niewiele przeczytał z tego wszystkiego, należał do tej rzadkiej grupy mieszkańców Związku, której dotkliwie brakowało czasu na czytanie. Kupowanie książek, odbieranie dziecka z sowieckiego przedszkola, nauka języka polskiego. Na tym polegało jego ukryte dysydenctwo.

Kiedy ZSRR się rozpadł, ojciec ani razu nie skorzystał z możliwości wyjazdu gdzieś dalej niż pod zachodnią granicę Ukrainy. Chociażby do Polski, której językiem posługiwał się doskonale, a która w latach 90. nie wymagała od obywateli „postkomuny” nic poza dobrymi chęciami i paszportem. Mój ojciec nie miał i dotąd nie ma paszportu.

Jego Europa pozostała papierowa. Kilkanaście pólek książek. Sam ją zbudował, tak jak chciał.

◆◆◆

Dziś ukraińska „Europa” jest papierowa, kartonowa, złożona z literek oficjalnych dokumentów na temat „europejskiego wyboru”, przez lata pisanych pod jeden wzór, na sklejce przedwyborczych szczytów agitacyjnych, z tabliczek, z odzieży używanej. Mojemu ojcu nie do końca się nie udało. Starannie dobierał materiał, z którego budował.

Polski poeta Adam Zagajewski w 1984 roku napisał: „Europa istnieje w nas – Europa wyobraźni, iluzji, pragnień”. Teraz to zdanie jeszcze bardziej niż Polakom dwadzieścia parę lat temu pasuje Ukraińcom. Akcentowałbym jednak słowo „iluzja”.

O dziwo, nawet uciążliwi nielegalni pracownicy, znikający za zachodnią granicą krewni, chamscy europejscy pogranicznicy, celnicy i reszta funkcjonariuszy nie są w stanie rozwiązać Ukraińcom tego „mitu Europy”. To kwestia wiary i warto to rozważać w kategoriach religijnych. Nic nie jest w stanie zaćmić zbawiennego światła ziemi obiecanej. To „geodycea”, uzasadnienie geografii. Granica i codzienne trudności są próbą, która odsieje nie-

dowiarków. Obietnica „Europy” spełnia się tylko tym, którzy wierzą w nią do końca. To jest wiara i każde jej zaprzeczenie będzie jedynie potwierdzeniem. Jeśli sama Ukraina nie stanie się kiedyś Europą.

Nie dlatego, że religia na Ukrainie nie ma swojej przeciwwagi. Oczywiście, że istnieje drugi biegun wiary, gdzie „Europa” to źródło każdego widzialnego i niewidzialnego zła. I wszystko znów działa tak samo, tylko w przeciwną stronę – każdy europejski zysk przekuwany jest w podstęp i łapanie w sieć.

Człowiek postradziecki to niezwykle mitologiczna i utopijna istota. Przekonanie o realności niewidzialnego jest fundamentem każdej propagandy totalitarnej, dlatego też Ukraińcy przez dziesięciolecia przywykli do tego, by dostrzegać to, czego nie ma. Zwłaszcza taką Europę, o której nie śniło się nikomu prócz nich samych – Europę spełnienia przepowiedni testamentowych albo Europę szatańskiego umysłu.

Przekonanie o realności niewidzialnego prosi się o wykorzystanie. Otóż niewidoczna rzeczywistość to obrazek, który można domalowywać wedle uznania zgodnie ze swoimi partykularnymi zainteresowaniami; to rodzaj plastelinowego bożka. „Aksamitna kurtyna” na wschodniej granicy UE za każdym razem jest coraz bardziej szczelna i bardzo mało przez nią widać, ale Ukraina (na nieszczęście dla wielu) nie przesunęła się na wschód ani o metr, dalej stoi tuż pod samą ścianą, tylko z drugiej strony. Wyobrażam sobie, że wygląda to tak jak w prymitywnej karykaturze z gazety: tłum z zewnętrznej strony ściany podsluchuje dźwięki zza muru, stara się coś zrozumieć, zaczyna się sprzeczać. I, jak to zwykle bywa, właśnie w tej chwili zjawia się Ten, Który Wszystko Wyjaśni – w garniturze, pod krawatem, z oficjalną miną bierze megafon i stara się objaśnić głosy z drugiej strony. Tak, ukraińska „Europa” to fałszywa moneta, którą państwo stara się rozliczyć ze swoimi mieszkańcami. Prawdziwej Europie też próbuje ją wcisnąć, ale tam nie przyjmują tych pieniędzy.

◆◆◆

Jednak należy oddać sprawiedliwość. Linia nowego podziału europejskiego to nie jest linia, na której mit przemieszczający się ze wschodu depcze po piętach europejskiej rzeczywistości. To linia konfliktu mitów. Jak ciepła i zimna masa powietrza nachodzą na siebie i zderzają się dwie iluzje, dwa fundamentalne stereotypy.

Mam znajomego, który lubi czytać i przeglądać wszystko to, co wiąże się z wojnami, konfliktami i klęskami żywiołowymi. Aż do granic obłędu. Powiecie, że to nic dziwnego, klasyczny objaw „syndromu złego świata”. Cóż, nieczęsto nadarza się okazja, by przyjrzeć mu się z bliska. Ten sam znajomy przyznał mi się kiedyś, że im bliżej coś się dzieje, tym jest bardziej zaintrygowany. Wojna w Bośni interesuje go bardziej niż wojna w Palestynie, a ta bardziej niż konflikt w Papui-Nowej Gwinei. „Wydaje mi się, że chodzi nie o geograficzną, tylko o kulturową bliskość – starałem się uprawiać amatorską psychoanalizę. – Bardziej interesuje cię to, co potencjalnie mogłoby dotyczyć ciebie”. „Dzięki, że odkryłeś przede mną Amerykę” – podśmiechnął się znajomy.

Naprawdę wydaje mi się, że obecnie cała Europa cierpi na *mean world syndrome*: coraz bardziej wątpliwa jest jej egzystencja, ponieważ coraz częściej czarnymi farbami zamalowuje lęki przed niebezpieczeństwem z zewnątrz, które na pozór jej nie zagrażają. Są jak grzmot za oknem, dzięki któremu bardziej doceniamy zacisze domowe. Przypadek Iraku czy Afganistanu nie bardzo nas przekonuje, ponieważ tam wszystko jest inne. A ot, Albania czy Ukraina – tego właśnie potrzeba. To „swój inny”, sąsiad-nieudacznik, który hałasuje za ścianą, ciągle przesuwając meble, z którym jednak trzeba spotkać się na schodach i odpowiedzieć mechanicznie „dzień dobry”. Głośny film BBC *Stadiony nienawiści* na temat rasizmu i ksenofobii we wschodniej Ukrainie, w którym były piłkarz reprezentacji Anglii Sol Campbell radzi, by zachodni fani nie jechali na Ukrainę na Mistrzostwa Europy, ponieważ można „wrócić w trumnie”, albo artykuł niemieckiego dziennikarza Matthiasa Marburga na stronie gazety „Bild am Sonntag”, w którym Ukrainę nazwał „pań-

stwem prostytutek” – to tylko dwa przykłady demonizowania „sasiada-barbarzyńcy”.

Te materiały nie są stuprocentowym kłamstwem. Film BBC nie był spreparowany, wszystkie wydarzenia naprawdę miały miejsce, artykuł Marburga został napisany na podstawie rozmowy z ukraińską prostytutką, która opowiedziała, jak przeciętne dziewczyny podczas mistrzostw „zabierają pracę” profesjonalnym kapłankom namiętności.

Kłamstwa nie było, nastąpiła jedynie negatywna selekcja faktów. By obraz był jednakowo ciemny, bez żadnych jasnych smug.

By było straszniej.



Lesia Chomenko z cyklu *Stepan Repin* (fragment)



By nie było tak strasznie.

◆◆◆

Większość Ukraińców niestety nic o tym nie wie. O tym, że już dawno przebrali się za „europejskie id, to jest lęk, który nawiedza nocą śpiący Paryż, Londyn i Frankfurt nad Menem”<sup>1</sup>. O tym, co tak naprawdę dzieje się po tamtej stronie ściany.

Bo większość z nich i tak nigdy nigdzie nie pojedzie. Ale zawsze znajdzie się ten, kto im wyjaśni, jak prawidłowo kochać czy nienawidzić Europę.

<sup>1</sup> A. Stasiuk, *Shqiperia*, „Tygodnik Powszechny” 1/2003.

Dlatego może mój ojciec wybrał najlepszy ze wszystkich najgorszych wariantów. Kolejny raz ogląda ten film o Europie, swoje przedpotopowe „Kino Polonia”. I nikt mu niczego nie wskazuje.

2013

Tłumaczenie z języka ukraińskiego: Urszula Pieczek  
Tekst pierwotnie został opublikowany w języku niemieckim w tomie *Ein literarischer Rettungsschirm für Europa*, Berlin 2013

